



MGŁA



VII Wojewódzki Konkurs Literacki *Pod ojczystym niebem* 2016

Organizator

Zespół Kształcenia Podstawowego i Gimnazjalnego nr 21 z klasami sportowymi
w Gdańsku

Mariola Walkusz, Joanna Migąła, Maria Sikorra

Patronat honorowy



Prezydent Miasta Gdańska



Pomorski Kurator Oświaty



ŚZŻAK

Sponsorzy konkursu

Biuro Prezydenta Miasta Gdańska ds. Kultury
Rada Rodziców przy ZKPiG nr 21 w Gdańsku
Mariusz Suskiewicz – odznaka Srebrne pióro
Okręg Pomorski Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej

Jury

Józef Jasielski – reżyser teatralny, poeta
Krystyna Orlicz – nauczycielka edukacji wczesnoszkolnej, polonistka
Barbara Kaczanowicz – ŚZŻAK koło Gdańsk – Oliwa
Roman Rakowski, Danuta Ciesielska - ŚZŻAK koło Gdańsk - Wrzeszcz

Opracowanie tomiku Aleksandra Schild
Zdjęcia Lidia Dąbrowska
Rysunek na okładce Monika Schild

**Wyróżnienia członków Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej
Koło Gdańsk – Wrzeszcz i Gdańsk - Oliwa**

Alicja Błażejewska	Szkoła Podstawowa nr 8 w Gdańsku
Franciszek Brzeski	Szkoła Podstawowa nr 26 w Gdyni
Daria Filipowicz	Szkoła Podstawowa z Klasami Sportowymi nr 70 w Gdańsku
Claudia Freda	Gimnazjum Sportowe nr 46 w Gdańsku
Maria Jagacka	Szkoła Podstawowa nr42 w Gdańsku
Łukasz Jagiełka	Gdańska Autonomiczna Szkoła Podstawowa
Ewelina Jankowska	Szkoła Podstawowa w Konarzynach
Oliwia Kisielewska	Publiczna Szkoła Podstawowa nr 4 w Starogardzie Gdańskim
Agnieszka Kornatowska	Szkoła Podstawowa z Klasami Sportowymi nr 70 w Gdańsku
Mikołaj Kuźmich	Szkoła Podstawowa nr8 w Gdańsku
Oliwia Łakomicka	Publiczna Szkoła Podstawowa nr 4 w Starogardzie Gdańskim
Jakub Miczek	Publiczna Szkoła Podstawowa nr 4 w Starogardzie Gdańskim
Jan Mikliński	Gdańska Autonomiczna Szkoła Podstawowa
Antonina Prokop	Szkoła Podstawowa nr 26 w Gdyni
Jakub Sapiński	Szkoła Podstawowa nr 26 w Gdyni
Aleksandra Scharner	Szkoła Podstawowa nr 24 w Gdańsku
Daria Skarbek	Gimnazjum nr 16 w Gdańsku
Magdalena Stankiewicz	Gimnazjum Sportowe nr 46 w Gdańsku
Aleksandra Stybor	Szkoła Podstawowa z Klasami Sportowymi nr 70 w Gdańsku
Ewa Węglewska	Szkoła Podstawowa z Klasami Sportowymi nr 70 w Gdańsku
Marta Zmudczyńska	Szkoła Podstawowa nr 8 w Gdańsku
Jan Żarczyński	Szkoła Podstawowa nr 26 w Gdyni

Zgodnie z regulaminem, tomik zawiera tylko utwory nadesłane dodatkowo w wersji elektronicznej.

NAGRODY

BÓL TWORZENIA

Kartka z pamiętnika

Gdańsk, 10.01.16r.

- O rany! Już trzy godziny myślę o czym mam napisać pracę na konkurs. - Jęczę ślęcząc nad pustą kartką. - To o czym mam napisać?

- A może jednak napiszesz coś o squashu? - po raz tysięczny mówi mój tato. Ależ on jest uparty! Lubię grać w squasha, ale żeby od razu o tym pisać opowiadanie?

- To może coś o przyjaźni? - wtrąca się mama.

- O jakiejś przygodzie? - to znowu tato.

- Nie lepiej o zwierzętach? - rodzice koniecznie chcą mi pomóc.

- A jakby coś z fantastyki?

- „W sensie, że jak?” - pytam dowcipnie, cytując tekst z kabaretu.

No tak. Kabarety też lubię. Nawet bardzo, a moim ulubionym jest Smile. Ich skecze z Bożenką i Marlinem są fantastyczne. Rozśmieszają mnie, mimo że znam je prawie na pamięć. Często przerzucamy się z rodzicami i siostrą różnymi śmiesznymi cytatami. Hm... to może wymyślę jakiś skecz? Albo coś zabawnego? „Ale z drugiej strony Przemyśl to” - myślę sobie słowami kabaretu Smile. To chyba nie jest takie proste.

- To może jednak napiszesz coś o squashu?

Ratunku! Tato jest monotematyczny! No trudno. Zapytam siostrę. Zaryzykuję. Nie zdążam położyć ręki na klamce drzwi do jej pokoju, kiedy słyszę gromkie:

- liiiiiidź stąd!

Wróżka czy co? Chyba wyczuwa mnie na kilometr. No cóż, muszę liczyć tylko na siebie. Za chwilę drzwi uchylają się:

- A czego chcesz? - ciekawość mojej siostry bierze górę nad bratersko-siostrzanymi prztyczkami.

- Podrzuć mi pomysł na temat opowiadania - proszę.

- Znajdź sobie w necie - odpowiada niewiele myśląc.

- No to mi pomogłeś - burczę poirytowany.

Mam pustkę w głowie. Chyba tę pustkę widać na twarzy, bo mama patrzy na mnie ze współczuciem i mówi, żebym napisał o tym, jak trudno jest napisać coś ambitnego na zawołanie. Łatwo powiedzieć. Idąc za radą siostry szukam w internecie co ciekawego napisali inni i... nic mi to nie pomaga. Czarna dziura na całą głowę. Wtedy tato zerka na mnie znacząco.

- Wiem, wiem, ale nie - powiedziałem zdecydowanie.

W sumie mógłbym napisać o... wiadomo czym. Jutro jadę na zawody do Poznania i jestem trochę zdenerwowany, może dlatego nie mogę skupić się na pisaniu? Tato jest podekscytowany, bo on też gra, to nasze wspólne hobby. To może jednak napiszę coś o squashu? Eeee... I zamyślam się ... Przez głowę przelatuje mi mnóstwo myśli, ale żaden pomysł nie jest wystarczająco dobry. W końcu wyciszam się i po chwili decyzja zapada. Tak, opiszę swój ból tworzenia. Moment! Właściwie to już go opisałem, trzeba to tylko wydrukować. Ale ulga!

Łukasz Jagiełka kl.6

DESZCZ SIĘ BAWI

Deszcz się lubi z dziećmi bawić,
jaką grą nas zaciekawi?
Gra w kropelki jest wspaniała
to rytmika doskonała.

Tu kropelka, a tam dwie,
deszczyk wnet pojawi się.
On rytmicznie w krople gra
więc zagrajmy ty i ja.

Chętnie po kałużach skaczę,
parasolkę w ręku mam.
Oj, na drodze jest ślimaczek
zrobię kroczek tu i tam.

Julia Kądziołka kl.3

MIEJSCA, KTÓRYCH NIE MA

Pewnego zimnego, listopadowego dnia pod wielki przeszklony wieżowiec podjechał czarny, elegancki samochód. Wsiadła z niego wysoka blondynka o wyjątkowo jasnych, prawie białych włosach. Była to trzynastoletnia Łucja Kostrubała, zwana przez przyjaciół Lusią. Przyjechała, by zabrać na weekendowy wypad swoich dwóch znajomych: Noemi i Wincentego.

Noemi była adoptowaną córką Państwa Jakubowskich, znanych podróżników i reporterów, którą nowi rodzice przywieźli z Namibii. A Wincus.....? Jego rodzice byli historykami i byli bardzo specyficzni. Imię odziedziczył po dziadku.

Pan Leon, tata Lusi nie lubił tego miejsca, był spokojnym lekarzem, a nie wielkim biznesmenem.

- Łucja! Ja zostanę tutaj i poczytam gazetę – powiedział tata.

- OK, za jakieś pięć minut będziemy na dole. - (...) weszła do windy.

- Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć ... - powoli odliczała w myślach. Skręciła w lewo i zapukała do drzwi. Po chwili ukazały się w nich czarne loki Noemi.

- Luśka! Wincek już jest. Czy Staś też jedzie? – krzyknęła na powitanie Noemi.

- Nie, jest niby chory i został z Julią. - Lusią bardzo kochała swojego tatę. Niestety, po tym jak jej mama po urodzeniu jej młodszego brata Stasia, odeszła od nich, tata po pięciu latach ożenił się ponownie. Julia, bo tak miała na imię jego nowa żona, niby próbowała być mamą; Staś nawet ją polubił, ale Luśka jej nie wierzyła.

W tej chwili podbiegł do nich uradowany Wincus.

- O cześć, jedziemy już?

- Tak, tylko przywitam się z twoimi rodzicami, Noemi.

- Dzień dobry państwu! Niestety musimy już jechać, żeby zdążyć przed czternastą, by było jeszcze jasno.
- Dobrze. Pa dziewczynki! No i trzymaj się Wincus - powiedział tata Noemi i ją przytulił.

~ * ~

- Jak tylko przyjaciele wsiedli do samochodu, zadzwonił telefon taty. Po krótkiej rozmowie oznajmił:
- Stanley, tak nazywamy Stasia - wyjaśnił przyjaciółom córki - już jakoś „cudownie” wyzdrowiał, więc jeszcze zajedziemy do domu po niego i mamę.
 - ONA nie jest moją mamą! - warknęła Lusia i przeklęła pod nosem.
- Po pół godzinie byli już w komplecie. Luśka naburmuszona, Wincus jak zawsze wesoły, Noemi i Stanley podekscytowani rozmową i żartami. Niedługo po tym kilka razy pojawiała się to samo pytanie: Długo jeszcze?! A potem już tylko bębnił deszcz i słychać było pochrapywanie.(...)
- Punktualnie o czternastej, po czterech godzinach dojechali na miejsce
- Dzieciaki, może najpierw obejrzyjcie okolicę, już nie pada, a ja muszę trochę ogarnąć w domu i przygotować obiad - zaproponowała macocha.
 - Świetny pomysł mamó, weźmiemy telefony.... - nie zdążył dokończyć Stanley.
 - Tu nie ma zasięgu, geniuszu - powiedział Wincek i pacnął go w czoło.
 - Jeszcze raz powie do NIEJ „mamo”, to tak go walnę, że nie będziemy oglądać okolicy, tylko szukać najbliższego szpitala - pomyślała Luśka.
 - Może zasięgu nie ma, ale chodźmy się rozejrzeć, potem zrobi się ciemno, a teraz nie zabłądzimy. - Nie oczekując na odpowiedź, Noemi ruszyła przed siebie. (...)
- Dobiegli na skraj klifu. Panorama była piękna. Pod nimi rozpościerało się otwarte morze, aż dziesięć kilometrów dzieliło ich do najbliższego miasteczka, jedna kreska zasięgu w telefonie, no i brak internetu. Jak dzieciaki z wielkiego miasta mogły tu przeżyć...? (...)

~ * ~

- Szli jeszcze kwadrans, ale już zaczęło się ściemniać.
- Lepiej wracajmy - rzucił Wincek i biegiem wrócili przed dom.
 - O... patrzcie A.D. 1765 – zaciekał się Wincek.
 - No i co, chodźmy do środka, jest zimno - zniecierpliwiał się Staś.
 - *Anno Domini* to znaczy roku pańskiego – tłumaczył Wincek, ale Staś i Noemi dalej nie rozumieli.
 - Pozwól, że ja wytłumaczę - uśmiechnęła się wrednie Lusia - to znaczy, że ten dom ukończono w 1765 roku.(...)
- Weszli do środka, czuć było zapach obiadu.
- Halo! – wykrzyknął Wincus.
- Jestem w kuchni - odezwała się melodyjnym głosem Julia.
- Nie chcemy na razie jeść. Idziemy pozwiedzać dom - odpowiedziała za wszystkich Lusia, która unikała Julii jak ognia. Rozebrali się, odwiesili kurtki i poszli do pokoju, w którym miały spać dziewczyny.
 - Proponuję dokładnie poznać dom - rzekł pełen entuzjazmu Wincus.
 - Hola, hola, dlaczego ty masz dowodzić? - oburzyła się Lusia.
 - Bo jestem w tym najlepszy - stwierdził.
 - Bzdura! To ja jestem charyzmatyczna, inteligentna, sprytna, pewna siebie.... hmm... i odważna, jestem urodzonym przywódcą - Luśka tak to powiedziała, że wszystkich zatkało. Ona zaś wskoczyła na szafkę i uniosła ręce.
 - Jestem jak Piłsudski dla Polaków, Napoleon dla Francuzów... ale nie kojarzcie mnie z nimi. Pierwszy miał długie wąsy, a drugi był bardzo niski - po chwili namysłu dodała - kojarzcie mnie raczej z królową Wiktorią albo Margaret Thatcher, obie silne, sławne i mądre.
 - Wow, wiedziałam, że masz ciąg do rządzenia, ale nie aż taki!- powiedziała Noemi.
 - Dobra królowo, pani premier, co robimy? – spytał Wincenty.
 - Ok, dom ma parter i trzy piętra, każdy sprawdza jedno piętro, czyli ja parter i tak dalej..., Wincus ty trzecie. Za pół godziny tutaj - zarządziła.

Po ustalonym czasie znowu byli w pokoju dziewczyn.

- Nic ciekawego - stwierdził Staś.

- A ja znalazłam szafę z pięknymi i miękkimi futrami, tak jak w Narnii - powiedziała Noemi.

- Ja nic ciekawego nie znalazłam, ale wzięłam kilka rzeczy: świecę, zapalniczki, dwie liny, lornetkę teatralną, peerelowskie „Popularne” ... wiecie papierosy, coś do picia, plecak i pyszną szarlotkę twojej mamy, Wincus – zdała raport Łucja.

- A ja znalazłem super pokój, niby sypialnia, ale pełno książek, prawie biblioteczka. No wiecie kominek, książki, dwie wielkie kanapy, łóżko, przedpotopowy telewizor, na toaletce lakiery do paznokci, biżuteria, a w szafie same damskie ciuchy – opowiedział Wincent.

- Tata mówi, że przed nami, od 1946 roku mieszkała tu stryjenka ojca ze strony matki, czy jakoś tak – powiedział Staś.

- Chodźmy tam - zaproponowała Lusja.

Gdy przyjaciele weszli do pokoju, rozsiedli się na kanapach, gorączkowo rozmawiając o historii domu.

- Co to za obraz? – spytała Noemi.

- To pewnie nasza stryjenka - zastanowiła się Łucja - pochyliła się i przeczytała - Maria Mendelson-Kostrubała.

- Drugie nazwisko takie jak wasze – wykrzyknął Wincent.

Łucja wskazała na wielką szafę z książkami, która na gzymsie miała złotą literę „M”.

- Powinniśmy sprawdzić te książki; wiecie, z tego co nauczyłam się na historii, to takich obrazów nie malowano w pięćdziesiątych i sześćdziesiątych latach, a już na pewno nie w Polsce. To musi być ktoś starszy niż stryjenka, która używała lakieru do paznokci.

- O nie! Więcej czytać? Przynajmniej najpierw zjedźmy szarlotkę twojej mamy – Staś zwrócił się do Wincusia. (...)

Kiedy z szarlotki zostały już tylko okruchy, postanowili dowiedzieć się czegoś o tajemniczej kobiecie z portretu. Zeszli do kuchni, gdzie rodzice Łucji przygotowywali obiad.

- Tato, kim była Maria Mendelson-Kostrubała? – zapytał Staś.

- Hm... Opowiadała mi o niej stryjenka. Mieszkała tu podobno aż trzydzieści cztery lata, od końca wojny. Była siostrą pradziadka Edwarda – wytłumaczył tata.

- Super! To my idziemy na górę - wykrzyknęła Noemi i wszyscy popędzili za nią.

- Słuchajcie, poprzeglądajmy wszystko, jak coś znajdziemy, albo będzie ciekawe, to kładziemy tu - wskazała Łucja.

~ * ~

Większość książek nie przydała im się, sama poezja, teologia lub typowe klasyki z epoki.

- Chyba coś znalazłem – zadeklarował Wincek i wyjął kartkę z napisem:

„*Localiser M vous trouverez une entree, aiguille de navigation vous irdiquera, anuis et décoravere les secrets de la fermeture de la toule*”.

- To francuski – stwierdziła Noemi.

- W pierwszej klasie gimnazjum doszedł nam język francuski, ale tego nie rozumiem - powiedział Wincek. Łucja nagle spochmurniała.

- Pozostaje nam tylko jedno: mianowicie Julia – powiedział uradowany Staś.

- Czy ona zna francuski? - spytała Noemi.

- Niestety tak, „wredota” studiowała w Paryżu - parsknęła Lusja. Zeszli znowu na dół.

- Mamo, pomożesz nam coś przetłumaczyć? - spytał uśmiechnięty Staś.

- Jasne – (...) - „znajdź M, odnajdziesz morski klucz, gdy będziesz miał wpis, nawigację ci igła wskaże, przyjaciele odkrywajcie i tajemnicę w grobie zamknijcie”. Brzmi groźnie, skąd to macie? – podejrzliwie spytała macocha.

- To tylko na historię – skłamała Lusja; akurat była w tym niezła.

- Dziękuję – powiedziała Noemi i wrócili na górę.

Nagle Noemi zauważyła wejście na strych.

- Wincek, nie mówięś, że jest tu strych.

- Bo nie ma - odparł chłopiec.
- Popatrz w górę!
- Rzeczywiście - zmieszał się.
- No to koniec przerwy, próbujemy się tam dostać - zarządziła Lusia i nie czekając na innych wzięła krzesło, stanęła na nie i próbowała otworzyć właz w suficie.
- Zamknięte, chodźmy obejrzeć jakiś film – błagał Stasiek.
- Nie, zostajemy! - uparła się Lusia.
Po kilku nieudanych próbach, udało im się otworzyć właz, z którego wysunęła się drabina.
- Pójdziecie za mną, czy się boicie? – uśmiechnęła się liderka. Wszyscy wspięli się po drabinie.
Na strychu było dużo kurzu i trochę pajęczyn; oprócz tego kufry, pudła, stare stroje i pamiątki z egzotycznych podróży.
- Jeju, wow... - słychać było westchnienia.
- Jak już tu jesteśmy, to poszperajmy trochę - powiedziała Lusia. - Wincek ty przeszukaj rupiecie pod witrażowym oknem, Noemi szafę, a ja książki.
Przez dłuższą chwilę przeglądali zgromadzone na strychu rzeczy, aż usłyszeli głos ojca:
- Obiaad!
- Ok i tak tam nic nie było... – powiedziała Lusia i z rezygnacją poszli na dół. Po smacznym obiedzie wrócili jednak na poddasze.
- Zostało mi jeszcze to pudło - powiedziała Noemi. Otworzyli je, ale w środku nic nie było.
- Hm.. puste - zdziwił się Staś.
- Coś mi tu nie gra! W środku wydaje się mniejsze - stwierdziła Lusia.
- Co, że niby jest drugie dno? – rzucił z pogardą Staś.
Lusia nic nie mówiąc, przyglądała się uważnie wnętrzu pudełka, uniosła deseczkę i wyjęła ze środka srebrny klucz ze wzorem muszli i alg. Miała twarz zwycięzcy.
- Ha i co!? – tryumfował Lusia.
- Czy na tej kartce nie było czegoś o morskim kluczu? – spytała Noemi.
- Tak - powiedział Wincek i zacytował - „*odnajdziesz morski klucz, gdy będziesz miał wpis*”.
- Zejdźmy i tam pomyślmy, tu jest niewygodnie - zaproponował Stanley.
Za chwilę przyjaciele siedzieli na wygodnych kanapach. Pochłonięci byli rozmową o znaczeniu listu i o tym, jakie drzwi mógł otwierać ten klucz i dokąd mógł ich zaprowadzić.
- W regale z monogramem „M” były dwie szuflady, ale nie dało ich się otworzyć; może ten klucz będzie pasował? – zaproponowała Lusia. Dzieci podeszły do szafy i Staś wsunął klucz do dziurki.
- Nie działa... - poddawał się Stanley
- Jest jeszcze druga – powiedział Wincenty. Wsunął klucz i przekręcił ..., i udało się otworzyć!
- Tak to robi mistrz!!! – ucieszył się Wincek
- Bravo! – pochwaliła go Noemi. W szufladzie było parę dzienników, zeszyty z datami, trzy klucze i kompas.
- Wow! – powiedziała Łucja otwierając kompas.
- Wiem! Igła kompasu – wykrzyknął Staś. Noemi otworzyła kompas, a Lusia wyjęła notatnik z datami.
- To może ja przeczytam... albo wy wybierajcie - powiedziała Lusia.
- To! - Wincenty wskazał na: *Venessia Italia 1731*.
- Ok. To znaczy: Wenecja. Włochy. 1731. – powiedziała niepewnie Lusia. Zerwał się wiatr. Błysnęło!
- Trzymajcie się!! – krzyknęła Noemi .
Zamknęli oczy. Gdy je otworzyli, znajdowali się na starym podwórzu.
- Gdzie my jesteśmy? – wykrzyknęli.
- W Wenecji, ale jakieś trzysta lat wcześniej – powiedział pewnie, choć z lekkim przestraszonym Stanleyem.
- Dlaczego ja cię doskonale rozumiem!? Ty mówisz po włosku! – wystraszyła się Noemi.
- Nie wierzę! Rozejrzyjmy się – powiedziała Lusia. Nikt nie protestował.
Przeszli długą drogę, krętymi, wąskimi uliczkami. Mijali warsztaty rzemieślników, artystów, dziwne, małe sklepiki i wystawy pełne weneckich masek karnawałowych. Przebyli kilka mostów, wszystkie w

kształcie tęczy, uniesione tak, aby mogły przepłynąć pod nimi gondole. Wenecjanie, w długich płaszczach i sukniach do ziemi, przyglądali się im, jakby przybyli z innej planety.

- Patrzenie jak się na nas gapią, to pewnie przez te ubrania - powiedział Staś.

W końcu doszli na plac św. Marka. Było tam mnóstwo ludzi. Szczególną uwagę skupiał na sobie pewien malarz, którego otaczała grupka gapiów. Podeszli tam i nagle zobaczyli portret Marii.

- Czy to jest?... – niedowierzała Lusja.

- Tak! - odpowiedział Stanley. Podeszli do malarza.

- Przepraszam... kim jest kobieta na obrazie? – zapytała Lusja.

- To Maria Mendelsohn-Kostrubała, a dlaczego pytaacie i kim właściwie jesteście? – odpowiedział malarz.

- Jestem Łucja, a to są Wincenty, Stanisław i Noemi. – przedstawiła przyjaciół.

- Miło mi, ja jestem Giovanni Battista Piazzetta. Co was sprowadza do Wenecji? –pytał Giovanni.

- Jesteśmy podróżnikami, Maria była moją ciotką... znał pan ją? – zapytał Staś

- Czy ją znałem? Była moją przyjaciółką, odwiedzała mnie czasem, choć nie widziałem jej od dziesięciu lat. Co u niej?

- Niestety nie żyje ... - powiedziała Noemi.

- Szkoda jej. – westchnął malarz - Och... ona zawsze była dziwna... gdy się jej spytałem, kim jest, to powiedziała, że jest podróżnikiem do... *miejsc, których nie ma*. Zapytałem wtedy, czy uważa, że Wenecji też nie ma, ale ona tylko się uśmiechnęła. – opowiadał dalej.

- Dziękujemy, ale niestety musimy wracać do domu.(..)

- OK masz rację wracajmy. – poparła go Luśka. Otworzyła kompas i powiedziała:

- AD MDCCLXV, 2015.

I nagle znowu stanęli na strychu. Zeszli do pokoju ciotki i kolejny raz usiedli na kanapach.

- Pamiętajcie co powiedział malarz? Jesteśmy podróżnikami do miejsc, których nie ma (...)

Antonina Adamowicz kl.6

DOBRY UCZYNEK

Nazywam się Złoty, Jeden Złoty i jestem monetą. Nie znam swoich rodziców, choć braci i sióstr mam miliony. Pewno interesuje Was, gdzie i kiedy powołano mnie do życia, ale tego nie pamiętam, naprawdę, nic nie wiem o swoim początku.

Ze swego dzieciństwa pamiętam w zasadzie tylko dobre chwile. Jako piękna, lśniąca moneta byłem przedmiotem podziwianym i oglądanym. Wraz z czasem, pojawiało się na moim obliczu mnóstwo rys, wgnieceń, zanieczyszczeń, wskazujących na mój wiek. Miałem sporo szczęścia, większość czasu spędzałem w dziecięcych skarbonkach, będąc głaskanym, przeliczanym przez małe, śliczne, spocone rączki, które planowały, jaki los mi zgotować. Najczęściej marzenia moich właścicieli krążyły wokół sklepów ze słodyczami lub zabawkami, pragnąc związać mój los z zimną kasą sklepową, w zamian za pyszne słodkości lub maskotki. Miałem jednak sporo szczęścia, bowiem plany zakupowe dzieci były zbyt wielkie a towarzyszy w skarbonkach zbyt mało, aby zmienić wygodne i ciepłe mieszkanka na zimne pomieszczenia sklepów.

Może wyda się Wam to śmieszne, ale zawsze miałem w sobie przekonanie, iż nie jestem tylko zwykłą monetą, lecz przeznaczenie moje jest szczególne. Ten wewnętrzny głos okazał się prawdziwy i teraz, po latach, mogę opowiedzieć Wam o wyjątkowej przygodzie w jakiej brałem udział.

Wszystko zaczęło się niewinnie. Mój właściciel był chłopcem dobrym i mądrym. O jego zaletach długo mógłbym opowiadać. Warto jednak podkreślić, iż wrażliwość jego była wielka. Słyszac o zbiórce pieniędzy na pomoc dla chorych dzieci, pomimo tego, iż zbierał nas na wymarzone, drewniane, jakże dziś staromodne szachy, postanowił przeznaczyć wszystko, co uzbierał, na ów szczytny cel. Pamiętam

tę chwilę, gdy drżącą ręką sięgnął do skarbonki, wyjął mnie i moje rodzeństwo, przeliczył, spojrzął na nas i schował do kieszeni. Dostrzegłem wówczas nie tyle jego smutek, co wzruszenie powodowane wspomnieniami, jak wiele czasu nas gromadził, myślał o nas, a teraz zbliżała się chwila rozstania. Pamiętam także niewygodną jeansową kieszeń spodni i tą krótką chwilę, gwałtowny błysk światła, gdy porwany z kieszeni w zimny dzień, trafiłem do papierowej skarbonki. Napis jaki zapamiętałem, gdy wciskano mnie do nowego mieszkania brzmiał „Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy”.

Dzieciak, który nosił skarbonkę pochodził chyba z dalekiej północy. Nie, nie dlatego, że miał rysy jak Eskimos, czy też poruszał się saniami, lecz zbierając datki wytrzymał na zimnie tak wiele godzin, że bez szczególnych predyspozycji byłoby to po prostu nie do wykonania. Pracował bez wytchnienia. Przez szpary w skarbonce, widziałem jak podchodził do ludzi, kłaniał się, żartował, prosił. Reakcje przechodniów były różne, ale nawet te niechętnie nie potrafiły zgasić jego zapału. W ten sposób było nas w skarbonce coraz więcej. Tymczasem nie byłem świadomy tego, iż nasz nowy domek jest obserwowany przez nieznanego o zimnych oczach. Obserwował on naszego wolontariusza już długi czas, czekając na właściwy moment. Gdy już zaczynało się ściemniać, ulica wyludniła się a skarbonka zrobiła się pełna, postanowił on zaatakować. Podszedł do naszego wolontariusza i zaczął się z nim szamotać starając się zerwać mu z szyi skarbonkę. W efekcie zgniół ją, zaś jego kciuk wbił się w moje plecy. Pamiętam tylko jak z pewnej wysokości wylądowałem na ulicy i potoczyłem się blisko twarzy naszego wolontariusza. Leżeliśmy tak obaj na plecach cali obolali. Po chwili pojawili się przechodnie, nadjechał samochód z migającym na niebiesko światłem i trafiłem zabrany pęsetą do woreczka.

Jak się okazało, nasz wolontariusz nie ucierpiał mocno, zaś ja trafiłem do różnych pomieszczeń, gdzie jak mówili obecni w białych fartuchach, zdjęli ze mnie odciski palca. Podobno z mich pleców zdjęto doskonale zachowany znak rozpoznawczy sprawcy. Tak oto, dzięki mnie, sprawcę znaleziono. Nie nie, nie dziękujcie, nie ma za co. To naturalne. Co najważniejsze odzyskano także moje rodzeństwo i trafiliśmy z honorami do banku. Nie będę Wam opowiadał w ilu mediach i ile razy o mnie wspomniano, ile moich zdjęć moich krąży w Internecie. To byłoby nieskromne, choć muszę skromnie wskazać, że w wielu. Dzięki mnie, przepraszam, dzięki nam, udało się kupić sporo sprzętu dla potrzebujących dzieci.

Dzisiaj patrzę na moją żonę i nasze słodkie grosze i wspominam czas, gdy byłem silną złotówką, a moje dzieciaki każą opowiadać sobie tę historię w miłe wieczory.

Jan Mikliński kl.5

MARZENIE

Fale, piana morska, ryk fal. Jak to wszystko można zmieścić na jednym obrazie? Utrwalić morze w czasie przyprływu lub odpływu, tak by widać na nim było każdy szczegół, aby każda kreska pokazywała jego siłę i potęgę. Praca malarza nie jest taka prosta, jaka się wszystkim wydaje. Trzeba mieć prawdziwy talent, by obraz ukazywał dokładnie to, co chcesz. To tak jak z filmem – nudny, bez efektów specjalnych nie sprawi, że będziemy myśleć o nim cały czas, nie będzie miał tego czegoś, punktu, który sprawi, że będzie to najlepszy film w twoim życiu. Dlatego przyjechałem tutaj, nad Bałtyk. Muszę znaleźć kogoś, kto pomoże mi zrozumieć i pokochać morze.

Nazywam się Paweł Orsicki. Urodziłem się w polskich Tatrach. Jako syn górala nie miałem szans spełnienia marzeń, tych ukrytych w głębi serca. Rodzice chcieli, bym był jak oni – góral czystej krwi, który nigdy nie rusza się ze swojego domku w górach. To chyba przez to, że tak bardzo na mnie naciskali, zniechęcałem góry i zapragnąłem wyjechać z nich gdziekolwiek. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem o morzu. O wielkiej, ogromnej przestrzeni, gdzie nie ma nic, oprócz wody. Wyobrażałem sobie ten piękny odcień niebieskiego, żółte cienie przy wschodzie i zachodzie słońca. To musi być piękne, gdy słońce spotyka morze i razem z nim znika po drugiej stronie. Muszę to zobaczyć. Lecz

rodzice byli nieugięci. Nie chcieli mi pozwolić opuścić gór, nawet gdy dorosłem. Teraz mam już dwadzieścia lat i muszę spełnić swe marzenia, bo inaczej zmarnuję sobie całe życie.

Wyjechałem dzień po swoich urodzinach. Miałem pieniądze po sprzedaży obrazów gór, górskich jezior, górskich drzew, górskich chat i wszystkich innych miejsc w górach. Mówili, że mam prawdziwy talent, że mogę zarobić pieniądze na odnowę domu. Lecz ja nie chcę tego. Ja chcę namalować morze.

Przyjechałem do Gdańska. Od ludzi w pociągu dowiedziałem się, że są tu piękne widoki i wielu rybaków, którzy chętnie opowiadają morskie opowieści. Postanowiłem zatrzymać się w małym pensjonacie „Pod rybim skrzydłem”. Dojechałem. Zobaczyłem morze. Poszedłem tam od razu, nawet się nie rozpakowując. I oniemiałem.

– Jak to możliwe, że morze nie zostało jeszcze uznane za cud świata? Że nie ma tu miliona ludzi z zagranicy, którzy je oglądają, malują, fotografują? Dlaczego jest tak pusto?

– Och, Bałtyk nie przyciąga tak wielu turystów jak kilka lat temu. Ludzie wolą jeździć do Grecji czy Hiszpanii. Nie widzą prawdziwego piękna tak niewielkiego morza, jakim jest Bałtyk. A nawet jeśli tu przyjeżdżają, to niszczą plażę i morze, śmiejąc. Dla nas, rybaków, lepiej jest, kiedy ich nie ma. – Powiedział stary rybak, niepostrzeżenie stając za moimi plecami. – Nie jesteś stąd, co?

– Nie, pochodzę z Tatr – odpowiedziałem.

– Tak, góry. My, prości rybacy nigdy nie odходимy daleko od swojego morza. To przynosi pecha.(...)

– Nie powinniśmy opuszczać domów, które dał nam los. Wtedy wszyscy byliby szczęśliwi. I nie martw się, jestem równie dziwny jak wszyscy staruszkowie na tym świecie.

– Ja nie byłbym szczęśliwy w górach przez całe życie. Jestem malarzem i chcę namalować morze. – Postanowiłem zignorować uwagę o dziwactwie. Widocznie wszyscy rybacy czytają w myślach.

– No to maluj. Nikt ci nie zabrania. – Powiedział ironicznie rybak.

– Pan nic nie rozumie, ja chcę poznać morze, jego zwyczaje, kiedy wstaje i kiedy zasypia, jak rozpoznać, jaki ma humor, na co ma ochotę. Chcę je pokochać!

– Cóż, w takim razie mogę ci pomóc. Mam mały kuter i codziennie wyruszam na morze. Mogę cię nauczyć wszystkiego, co sam wiem.(...)

Następnego dnia czekałem na rybaka na przystani. Wyszedłem wcześniej, ponieważ nie chciałem spóźnić się na spotkanie. O czwartej wypłynęliśmy w morze. Było ciemno i ledwie widziałem wodę przed sobą. Rybak jednak sterował bez wahania. Kiedy spytałem go, czy widzi cokolwiek przed sobą, odpowiedział:

– Nie trzeba widzieć, by poczuć.

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Co pan ma na myśli?

– Czujesz wodę pod nogami? Czujesz, jak kuter przechyla się to w jedną, to w drugą stronę? Jak morze oddycha, wypychając wodę w górę, to z powrotem wciągając w głąb? Musisz nauczyć się rozpoznawać mowę morza. – Powiedział rybak i odwrócił się do steru. Nie powiedział tego dnia już nic więcej.

Wschód słońca na morzu to chyba najpiękniejszy widok na świecie. Byliśmy tak blisko, słońce wydawało się takie wielkie, że prawie można było dotknąć go ręką. Rybak wręczył mi wędkę i wskazał na wodę. Założyłem przynętę i zarzuciłem wędkę. To samo zrobił rybak i usiadł na ławeczce tuż przy krawędzi łodzi. Mimo iż robiłem wszystko tak samo jak on, miałem wrażenie, że on jest do tego stworzony, a ja jestem jak wycięty z innego zdjęcia, zupełnie niepasujący. Siedzieliśmy tak kilka godzin. Rybak złowił w tym czasie kilkanaście dużych ryb. Mnie nie udało się złapać nawet jednej.

Po powrocie do pensjonatu długo myślałem nad wszystkim, co tego dnia się zdarzyło. Tęskniłem za górami, za rodziną, przyjaciółmi. Jednak gdy pomyślałem, że miałbym tam wrócić, zobaczyć ich wszystkich, przyznać się, że nie miałem racji, że nie powinniśmy opuszczać swoich domów, że ważniejszy od marzeń jest nowy dach na zimę, wiedziałem, że nie zrobię tego. Nie wrócę do domu, zanim nie spełnię tego, po co tu przyjechałem. Dopóki nie namaluję morza.

Przychodziłem do portu codziennie. Czasem musiałem czekać do świtu, czasami widziałem rybaka, który wypłynął w morze jeszcze wcześniej. Albo w ogóle nie przychodził. Czekałem wtedy, aż pojawią się pierwsi ludzie, i wracałem do hotelu. Nie rozumiałem tego, przecież każdego dnia przychodziłem o tej samej porze, w to samo miejsce. Gdy spytałem o to rybaka, ten mi odpowiedział:

– Nie każdy dzień nadaje się na wypłynięcie w morze. Nie każdego dnia trzeba to robić o tej samej porze. Czasem trzeba dać spokój i zająć się innymi sprawami. Naucz się planów morza. Nic nie rozumiałem. To nie miało sensu. Jak ten rybak ma mnie czegokolwiek nauczyć, skoro nawet nie mówi mi, kiedy mam przyjść?

- Musisz uwierzyć w swoje umiejętności. - powiedział rybak i zawrócił w stronę miasta.

Tak minęło kilka tygodni. Nadal nie mogłem zrozumieć, o co chodzi rybakowi. Na spotkaniach rybak kazał mi robić to samo: siadać i łowić. Po jakimś czasie udało mi się złowić pierwszą rybę. Rybak jednak powiedział wtedy:

– Wypuść ją do morza. Jest jeszcze mała i nie będzie z niej dużo mięsa. Zresztą złowiliśmy już wystarczająco dużo ryb.

– Ale to moja pierwsza ryba... Zresztą to tylko jedzenie. Chcę ją zjeść. – Zacząłem protestować.

Rybak zaczął opowiadać:

– Był sobie kiedyś rybak, trochę młodszy ode mnie, który mieszkał w małej chatce nad morzem. Był biedny, cały czas brakowało mu jedzenia i ubrań. Każdego dnia wypływał na morze, ale łowił tylko tyle, ile naprawdę potrzebował. Resztę ryb wypuszczał do morza, wiedział bowiem, że każde stworzenie, czy ryba, czy kot, ma wielkie znaczenie dla naszego świata. Pewnego dnia nie mógł złowić ani jednej ryby. Chciał już wracać do domu, kiedy nagle złapał małą rybkę, zupełnie taką jak twoja. Żał mu było jednak tej rybki, wiedział, że i tak się nią nie naje. Wypuścił ją do morza, a wtedy ta powiedziała mu: „Dziękuję ci, dobry rybaku. W zamian za to mogę spełnić tve trzy życzenia.”

– Jaki był koniec tej historii? – spytałem, gdy rybak zamilkł na chwilę.

– Rybak wypuścił rybkę i powiedział, że nie potrzebuje niczego i nie chce zabierać czasu małej rybce.

– Nie wierzę ci... Myślę, że to inaczej się skończyło.

– To nie jest ważne. Wypuść tę rybkę.

Wypuściłem więc rybkę do wody. Za każdym następnym razem zachowywałem tylko te ryby, które były potrzebne do zjedzenia. Resztę wypuszczałem. Pewnego dnia obudziłem się jeszcze wcześniej niż zwykle. Z okna w hotelu mam dobry widok na morze. Spojrzałem na nie i powiedziałem do siebie :

– Dzisiaj nie ma pogody.

Nie wiedziałem, skąd to wiem ale czułem, że dzisiaj nie wypływamy. Sam sobie się dziwiłem. Morze wyglądało jak zwykle. Jednak życie w górach nauczyło mnie jednego – zawsze ufaj swojemu instynktowi. Zostałem więc w mieście. Zwiedziłem Kościół Mariacki i wędrowałem bez celu po uliczkach. Wieczorem zjadłem kolację w porcie. Jak się spodziewałem, nie było tam nikogo.

Nagle za moimi plecami pojawił się rybak. Powiedział:

– Zaczynasz już rozumieć morze. Przyjdź jutro wcześniej. Chcę ci coś pokazać.

I odszedł. To może głupie, ale byłem z siebie dumny. W końcu coś mi się udało.

W porcie byłem o trzeciej. Popłynąłem z rybakim w morze, dużo dalej niż zwykle. Rybak powiedział:

– Jesteś gotowy. Przejmij ster.

Wyjechałem kilka tygodni później. W pociągu dużo myślałem o tym, co mnie spotkało w Gdańsku – o rybaku, którego imienia i nazwiska nawet nie znałem, o jego opowieściach, naukach. Nauczyłem się od niego więcej niż przez całe życie w górach. Przypomniałem sobie pierwszy raz, gdy trzymałem ster. Czułem morze całym sobą, to ja byłem morzem. Rybak często mawiał: „Dla nas rybaków, morze jest wszystkim. Jest przyjacielem, partnerem i opiekunem. Wszystko, czego potrzebujemy, to ono. My potrzebujemy jego, a ono potrzebuje nas”. Teraz wiem, co miał na myśli. Choć pokochałem morze, to potrzebuję gór.

Wracam do domu. Idę. Rodzice wychodzą na powitanie. Idę. Pod pachą trzymam obraz. Namalowałem go morzem. Jest w nim morze. Idę. Doszedłem. Jestem w domu.

Daria Skarbak kl. II gim

WYRÓŻNIENIA

Polska to jest ładny kraj.

Urodziłem się w tym kraju
10 lutego w redłowskim szpitalu.
Pan Prezydent Szczurek dał mi misia,
na początek mego życia.

Cieszę się, że poszedłem do szkoły w wieku 5 lat,
bo szybciej zacząłem poznawać swój kraj i świat.
Teraz mam już prawie 7 lat
i rozumiem wiele spraw.

Jest tu dużo jeszcze do zrobienia.
Gdy dorosnę spełnię swoje marzenia.

Jan Żarczyński kl.1

(...)
Najbardziej kocham Gdynię
o zachodzie słońca,
kiedy ogromna czerwona kula
zachodzi za horyzont wody,
a rozkrakane wrony
układają się do snu.

Latem leżę na piasku
i patrzę w niebo,
po którym płyną obłoczki.
Lubię słuchać szumu fal.

Victoria Zakrent kl.1

Pod ojczystym niebem
świeci jasne słońce.
Lubię wtedy spacerować
po zielonej łące,
podziwiać widoki
i oglądać chmurki,
a gdy spadnie śnieżek,
zjeżdżać z wielkiej góry.

Pod ojczystym niebem,
gdy nadejdzie lato,
w podróż mnie zabiera
mój kochany tato.

Antonina Prokop kl. 2

Świat moich marzeń, myśli i snów
To kraina, gdzie wszystko rozlewa się w sekundzie.
Sny lubią tam śnić o kucykach,
Spać no i sypiać na wymyślonej plaży.
Moje myśli lubią sobie myśleć o niebieskich migdałach
I zanurzyć się w myślach i o niczym nie myśleć,
A marzenia lubią sobie marzyć o fajnych marzeniach ,
Marzyć w chmurach o marzeniach marzeń
I marzyć o babci, która marzy o dobrych świętach.
To jest świat moich marzeń , myśli i snów.

Zuzanna Janik kl.4

BAJKA DLA CZAROWNICY

Dawno, dawno temu w pewnej krainie żyła sobie czarownica, która była bardzo zła. Postanowiła, że zostanie królową tej krainy.

Miała bardzo chytry plan – jak zostanie królową, to wygna wszystkich mieszkańców. Został ogłoszony konkurs na królową. Zapisła się Czarownica oraz bardzo mądra i miła dziewczynka. Czarownica próbowała wszystkich przekupić, żeby na nią głosowali. Lecz mieszkańcy mieli swój rozum i wiedzieli, kto będzie lepszą królową.

Nastał dzień wyborów. Wszyscy mieszkańcy głosowali na dziewczynkę. Czarownica bardzo się zdenerwowała i przyrzekła zemstę. Nowa królowa poprosiła wróżkę o pomoc. Wróżka zaczęła się na Czarownicę i zamieniła ją w posąg. Posąg został ustawiony w ogrodzie, gdzie każdy mógł go obejrzeć i dotknąć.

Królowa poślubiła swojego ukochanego księcia i żyli długo i szczęśliwie.

Zuzanna Trelka kl.1

MGŁA

Na leśnym jeziorkiem obudził się letni dzień. Niebo pojaśniało trochę, a zza ponurych szuwarów wyłoniły się pierwsze promienie leniwie wschodzącego słońca. Pojawiły się i w jednej chwili pomalowały niebo czerwoną barwą. W oddali nieśmiało odezwał się obudzony ptak. Zaświergotał w rytm, jaki wystukał mu energicznie wyspany dzięcioł. Las powoli budził się. Gdzieś zza błękitnego brzegu jeziora wstawał nowy dzień.

Nad leśnym jeziorem obudziła się także panna mgła. Uniosła delikatne powieki i rozejrzała się wokoło zaspanym jeszcze nieco spojrzeniem. Roześmiała się radośnie, niby delikatnie, a jednak echo poniosło jej śmiech po krystalicznej tafli wody aż na przeciwległy brzeg. Rozplotła swoje długie warkocze i energicznie potrząsając głową, rozrzuciła wokoło włosy. Mleczne pasma w jednej rozsunęły się i przykryły jeziorną wodę. W jednej chwili unosiły się delikatnie nad jej taflą w górę, by za chwilę spokojnie opaść w dół. Zazdrosny wiatr rozwiewał te mgliste kosmyki i spowijał nimi nadwodne szuwały. Pierwsze promienie budzącego się słońca przeplatały tę misterną fryzurę złotą nitką, a skrzydła ptaka, który nieopatrznie zniżył swój lot, burzyły pasma loków. Mgła przejrzała się lśniącej tafli jeziora i z zadowoleniem uśmiechnęła się do samej siebie. Była piękna.

Po chwili leśne jeziorko ukryło się przed oczami ciekawskich. Cudowna fryzura panny mgły spowiła lazurową tafnię wody i jej fale lśniły mleczną poświatą w nieśmiałych promieniach słońca. Wstawał kolejny piękny dzień.

Jakub Miczek kl.6

LAS

Znam to miejsce od lat. W mojej rodzinie wszyscy je znają. Las nad jeziorem w Osieku. Lubię go, ale trochę mnie przeraża. To miejsce naprawdę jest niezwykle. Może właśnie dlatego?

Pewnego dnia do opuszczonego, ciemnego lasu nad jeziorem zawitała gęsta mgła. Była tak piękna, że nikt, kto spotkał ją na swojej drodze, nie potrafił oderwać od niej wzroku. Miała cudowne, długie włosy, które zazdrosny wiatr rozwiewał na wszystkie strony świata. Oczy jej lśniły niczym diamenty, tak błyszcząły, że widać je było z daleka. Ubrana była w perłowy biały płaszcz, który mocno otulał wszystko, co znajdowało się wokoło niej. W ręku zwykle trzymała koszyczek, z którego nieustannie wyjmowała ożywcze krople rosy. Miały on niesamowitą moc. Wszystko, czego dotknęły, budziło się do życia.

To niezwykle szczęście, że zawitała akurat tutaj. Zwykle spacerowała po polach i dużych przestrzeniach szeroko, budząc zachwyt swym wdziękiem. Cieszyła oczy swoją tajemniczą urodą i wzbudzała zachwyt samą swoją obecnością. Nikt nie wie, dlaczego tym razem wybrała to miejsce, a las, do którego przybyła, bardzo jej potrzebował.

Było tam bardzo ponuro. Z mrocznych zakątków wyłaniały się przerażające cienie. Każdy szelest mroził krew w żyłach. Nic dziwnego, że już od dawna nikt tutaj nie zawitał. Chodziły nawet pogłoski, że jest to przeklęte miejsce, a dawniej było pełne barw i tętniło życiem, teraz pozostało opuszczone i straszne. Ktoś kiedyś powiedział, mieszkańcy lasu popadli w konflikt z drzewami. Te w odwecie rozłożyły swoje korony tak, aby nie dopuścić promieni słońca i deszczu. Tylko one same radośnie korzystały z tych darów natury. Rośliny pomierały. Zwierzęta opuściły swoje norki. Panowała ciemność, mrok i niesamowita cisza. Nikt nie był w tym miejscu, wręcz przeciwnie, każdy go unikał.

W takie zapomniane miejsce przybyła mgła. Jej wizyta w tym miejscu była jak prawdziwy dar życia. Nagle w jednej chwili wszystko się zmieniło. Rośliny, które pousychały, otuliła swoim białym płaszczem i wszystkie ożyły. Zaczęły wypuszczać listki i kołysać na wietrze. Zakwitły kolorowe kwiaty,

na których przysiadły motyle. Tuż przy ziemi zakwitły grzyby, owoce i jeżyny. Wszystko ożyło jak za dotknięciem magicznej różdżki. Każdy dotyk jej dłoni pozostawiał po sobie las zimnych kropelek, które dawały życie roślinom. Zacietrzewione w złości drzewa patrzyły na to, co się dzieje, z zachwytem i zapomniały o dawnych urazach. Wyciągnęły korony drzew ku słońcu i wpuściły jego ciepłe promienie na leśną polanę, a jej mieszkańcom powróciła chęć do życia.

Las w jednej chwili stał się cudownym miejscem, tak kolorowym, że tęcza stała się przy nim szara. Leśna polana okazała się być wymarzoną miejscem na dom. Znowu świeciło nad nim słońce. A co najciekawsze, nie wiadomo skąd nad leśnym niebem pojawiła się wspaniała tęcza, która pozostała w tym miejscu na zawsze. Las znowu był pełen życia, a w powietrzu unosił się jedyny w swoim rodzaju zapach szczęścia, którym teraz i ja się upajam.

Wiktoria Gnatowska kl.6

JEZIORO Z ŁEZ

Niedaleko Starogardu Gd., w głębokich lasach ukryło się niewielkie jezioro. Ci, którzy je widzieli, powtarzają, że nigdy dotąd nie spotkali wody o tak niespotykanej barwie, krystalicznie czystej, nieskalanej jak łza. Na Kociewiu od dawna mówią, że to jezioro powstało z ludzkich łez i przypomina o pewnej nieszczęśliwej historii.

Dawno temu niedaleko grodu nad rzeką Wierzycą żył bogaty młynarz Stanisław. Nieźle mu się wiodło. Jego młyn był jedynym młynem w okolicy, a że i młynarz pracował uczciwie, gospodarze gromadnie przybywali do niego i mieląc tu swoje zboże, pomnażali dobrobyt młynarza. Stanisław żył dostatnio i nie martwił się perspektywą utraty zarobku.

Jego prawdziwym szczęściem była jednak jego córka Małgorzata, która była niezwykle urodziwa, a po śmierci matki zaradnie prowadziła dom i dbała o obojczyce. Sława o pięknej i gospodarnej córce młynarza rozeszła się po okolicy, dlatego niejednego gospodarskiego i kupieckiego syna zabiegał o jej względy. Nikt jednak nie odpowiadał wygórowanym wymaganiom młynarza. Marzył mu się zięć bogaty, pracowity i urodziwy. Rozglądał się w tłumie zalotników i przebierał w nich jak w ulęgawkach. Zapomniał jednak przy tym, żeby zapytać o zdanie samą Małgorzatę, która była zbyt skromna i cicha, by wyznać ojcu skrywaną głęboko w sercu prawdę.

Serce Małgorzaty było już bowiem zajęte. Pokochała z wzajemnością Jana, pracowitego, ale bardzo biednego gospodarza z pobliskiej wsi. Jan odziedziczył po rodzicach niewielki skrawek małego urodzajnego poletka w środku lasu. Na piaszczystej ziemi plony były niewielkie i ledwo pozwalały na utrzymanie biednego gospodarstwa. Jan i Małgorzata spotykali się ukradkiem w zakolu Wierzycy, ukryci przed zawistnym spojrzeniem młynarza. Marzyli o wspólnym życiu, ale doskonale wiedzieli, że ojciec Małgorzaty nie pozwoli na ich ślub.

Pewnego dnia ich tajemnica wyszła na jaw. Stanisław dowiedział się o schadzki, na które wymykała się jego ukochana córka i wpadł w straszliwy gniew. Zamknął nieposłuszną córkę w młynie, a jej ukochanego Jana bezlitośnie przepędził ze wsi. Nieszczęśliwa Małgorzata najpierw błagała ojca o litość, później zaś, gdy zobaczyła, że nie przekona go, usiadła w kącie swojej izby i gorzko zapłakała nad swoim losem.

Łzy dziewczyny popłynęły szerokim strumieniem w las. Były tak szczere, przepełnione niespełnioną miłością i bólem po stracie ukochanego, że każda z nich stawiała się wielką falą. Powoli zatopiły najpierw niszczące gospodarstwo Jana, a potem pochłonęły bogaty młyn, zabierając ze sobą dumę i pychę bogatego młynarza.

Od tamtej pory na polanie w lesie możemy się przegłębiać w krystalicznym jak łza jeziorze. Na pamiątkę łez wylanych przez nieszczęśliwą Małgorzatę nazywa się je Jeziorem Płaczewskim.

Oliwia Łakomicka kl.4

ŚWIĘTA Z INNEJ PERSPEKTYWY

Dziś odwiedziła nas grupa bardzo ciekawych ludzi. Dość wysocy, z okazałymi brzuchami i do tego jeszcze wszyscy byli ubrani w ciemnozielone stroje. Jeszcze nie słyszałam, żeby wszyscy goście przychodząc do kogoś byli ubrani jednakowo. A miałam okazję słuchać różnych ciekawostek, bo co chwilę ktoś kręcił się w pobliżu.

Panowie przyjechali dość sporym samochodem z przyczepą. Chyba brali nas na wycieczkę, bo co chwilę przenosili kogoś z moich znajomych na tę dużą przyczepę. Przyszła i kolej na mnie. Wzięli duże narzędzie, podrapali mnie trochę po nodze, a potem zawinęli ją czarnym materiałem. Podnieśli mnie i zaczęło mi się kręcić w głowie. Myślałam, że się przewrócę, ale na szczęście złapali mnie, a potem we dwóch podnieśli i zanieśli do samochodu. Po chwili dołączyli do mnie różni znajomi. Niedługo później ruszyliśmy i bardzo długo jechaliśmy. Mijało nas mnóstwo pędzących samochodów. W końcu gdzieś dojechaliśmy. Wyjęli nas i rzucili na ziemię. Wylądowałam razem z innymi na jednej stercie. Po dłuższej chwili mężczyzna podniósł nas, opakował siatką i zaniósł do jakiejś kanciapy. Przez ponad dwa dni myślałam, że właśnie tak spędzę pozostałą część mojego życia. Na szczęście trzeciego dnia poznałam cel swojej podróży i wizyty w tym miejscu.

Było już koło południa, kiedy mężczyzna - ten sam, który mnie przeniósł, wyciągnął wszystkich z graciarni i poustawiał w równym rzędku wzdłuż płotu. Co jakiś czas przychodzili różni ludzie. Niektórzy byli sami, inni z dziećmi, jedni wyraźnie się cieszyli, że tu są, a inni przyszli jakby z przymusu. W końcu i mną ktoś się zainteresował. Po chwili przyszła jakaś pani, która rzekła: -Jacku, spójrz! - powiedziała do męża- ta jest bardzo ładna. -A nie jest trochę za wysoka? Będziemy musieli ją trochę przyciąć, żeby pasowała -oznajmił -może rozejrzyjmy się jeszcze trochę. Wybór jest spory, więc pewnie znajdziemy coś lepszego.

W tej chwili zaczęłam się obawiać, co ze mną będzie. Na szczęście nadbiegły dzieciaki - rodzeństwo, które już nie mogło doczekać się dokonania zakupu.

-Mamo! Ta jest taka ładna! Weźmy tę! -zawołała dziewczynka. Jak się później okazało była to Zosia.

-Zosia ma rację! -stwierdził jej brat -jest taka duża! I jak pachnie!

-No nie wiem... -zastanawiała się mama - spytajcie się taty, co on na to.

Dzieci spojrzały się na tatę z nadzieją, że się zgodzi. Mama również na to liczyła, bo już było jej zimno od stania na mrozie -wiem to, bo co chwilę przestępowała z nogi na nogę i rozgrzewała ręce, pocierając jedną o drugą. Mimo wszystko tata uparcie twierdził, że mogliby jeszcze poszukać w innych miejscach. Jednak wnioskując po wymownych spojrzeniach dzieciaków, zgodził się. W końcu święta zaczynają się już jutro, a choinka jest ich niezbędnym elementem.

Kilka minut później leżałam w dużym, ciepłym bagażniku, słuchając rozmów rodziny. Dzieci podekscytowanymi głosami dyskutowały o robieniu ozdób i szukaniu lampek choinkowych.

Nie minęło pół godziny, a dzieciaki próbowały samodzielnie wnieść mnie do domu. Ze względu na moje dość spore rozmiary, na szczęście pomógł im tata. Po kilku chwilach stałam już na środku salonu. Cała w świecących się bombkach i światełkach mieniących się wszystkimi kolorami tęczy. Jeszcze nikt nigdy tak mnie nie wystroił! Nie mówiąc już o nocowaniu w domu.

Nazajutrz w domu panował duży chaos. Nie wiedziałam, co się dzieje. Od samego rana mama nie wychodziła z kuchni, próbując przywołać do pomocy pozostałych członków rodziny. Dzieci nie chciały słuchać - za oknem świeciło słońce, spadło trochę śniegu, a że mróz nie był zbyt duży, lepienie bałwana było dla nich oczywistym zajęciem. Po jakimś czasie wróciły do domu. Dopiero wtedy poszły pomóc mamie pod groźbą braku wigilijnej kolacji i prezentów. Nie wiem, co mama tak szykowała za ścianą, ale pachniało wspaniale.

Późnym popołudniem przyszli goście. Jakoś około dwudziestki. Niedaleko mnie stał wielki, pięknie nakryty białym obrusem stół. Wszyscy chodzili w tę i z powrotem, co chwilę donosząc kolejne

potrawy. Na jednym talerzu leżała ryba -wyglądała zupełnie jak żywa. Obok w misce mieściła się jakaś sałatka, a obok elegancka waza z zupą, miska z czymś, co później zostało nazwane kutią i półmisek z pierogami. Nie do końca wiedziałam, co się wokół mnie dzieje. Ale wszyscy byli tacy radośni i uśmiechnięci. Gdy już wszystko było gotowe, cała rodzina i goście zebrali się tuż obok mnie. Zaczęli się ścisnąć, składać życzenia. Po dłuższej chwili zasiedli do stołu. Z niewiadomego mi powodu dzieci ciągle się wierciły i pytały o prezenty. Nic z tego nie rozumiałam, ale widziałam, że wszyscy się tak bardzo cieszą. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Zosia i jej brat od razu się do nich rzuciły. Ich entuzjazm delikatnie ostudził tata, tłumacząc, że przecież nie wiadomo, kto jest po drugiej stronie. Choć dzieci jakby i tak wiedziały, kogo się spodziewać. Za drzwiami stał starszy, grubszy pan w czerwonym ubraniu i z długą brodą. Na ramieniu miał zarzucony dość spory worek. Bardzo byłam ciekawa, co jest w środku. Gość usiadł na dużym fotelu i z wora zaczął wyjmować paczki zapakowane w kolorowy papier. Dzieci mówiły do niego "święty Mikołaju". Każdy z obecnych przy stole dostał paczkę z tajemniczego wora. Domyśliłam się, że to są właśnie owe kilkakrotnie wspomniane prezenty, bo wywołały wielką radość, zwłaszcza u najmłodszych. Taki wesoły harmider trwał cały wieczór. Gość nazywany świętym Mikołajem, okazał się być wujkiem Frankiem, a to i tak nie ostudziło entuzjazmu najmłodszych.

Gdy wszyscy goście już wyszli, mały chłopiec przyszedł do mnie. Powiedział, że pewnie nie wiem, co dzisiaj się działo. Odpowiedziałam mu po cichu, że niestety nie. Chłopiec chyba mnie nie usłyszał, choć wydawało mi się, że mówiłam dość głośno. Na szczęście i tak wszystko mi wytłumaczył. Dzisiaj podobno była Wigilia Bożego Narodzenia. Jutro będzie pierwszy dzień świąt i też przyjdą do naszego domu goście. Miałam nadzieję, że kolejnego dnia będzie taka sama atmosfera, bo dziś było na prawdę wspaniale. Muszę przyznać, że po całym dniu wrażeń byłam dość zmęczona, więc gdy tylko chłopiec odszedł, zasnąłam głębokim snem.

Następnego dnia obudziły mnie dzieci bawiące się swoimi zabawkami. Podobno to dopiero dzisiaj rozpoczynają się święta Bożego Narodzenia. Tak bardzo się cieszyłam, że mogę być u tej rodziny. Już myślałam, że niedługo wystawią mnie przed drzwi, a potem znowu jacyś panowie gdzieś mnie zabiorą -widziałam przez okno, że niektórych z moich tak zabierali, ale na szczęście tata zdecydował, że posadzą mnie w ogrodzie. Spotkało mnie naprawdę wielkie szczęście, bo niewiele sosen ma okazję zostać tak piękną choinką -bo nazwali mnie właśnie "choinką" i tak przyjemnie spędzić czas w czymś domu.

Jadwiga Tamowicz KL.6

WYRÓŻNIENIA ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ

W moim pięknym kraju
jest bogactwo jak w Dubaju.
Tam wieże sięgają po chmury,
tu piętrzą się wysokie góry.
Tam zobaczysz plaże szerokie,
tu znajdziesz morze głębokie.
Tam pod ziemią „czarne złoto” płynie,
a mój kraj – Polska, z bursztynu słynie.

Franciszek Brzeski kl.1

Pod ojczystym niebem
pięknie nam się żyje.
Drzewka, trawkę, kwiatki,
deszczyk często myje.
Słońko pięknie świeci,
tutaj żyją polskie dzieci.
Jest tu miło i bezpiecznie.
Jeśli dbamy o nasz kraj,
to mamy w nim raj.

Jakub Sapiński kl.1

MOJE BOŻE NARODZENIE

Przy stole wigilijnym zebrała się rodzina,
A na nim leży żłóbek , wieczerza uroczysta.
Boże Narodzenie pierwszą gwiazdką się zaczyna,
Na wszystkich patrzy z góry Matka Boża, najczystsza.

W ten dzień wyjątkowy, wszystkie spory się kończą,
Choinka jest ozdobiona i ludzie się łączą.
Dają sobie prezenty, życzą: „Wszystkiego dobrego”
I na dworze nie ma nikogo, nawet psa zziębniętego.

W moim domu jest cicho, ciepło i radośnie,
A od wspólnych uśmiechów, moje serce rośnie.
O północy w kościele msza się rozpoczyna,
I choć Wigilia będzie trwać, to mały Jezusek idzie już spać!

Mikołaj Kuźmicz kl.5

NASZA PIĘKNA POLSKA

Zielona trawa rośnie na łące,
biegają po niej szare zające,
z ogrodów kwiaty wyglądają,
naszą Polskę przyozdabiają.

Niebieskie niebo się nad nami rozprzestrzenia,
wpływając na dziecięce marzenia,
A dzieci marzą o wspaniałej zabawie,
na tej Polskiej zielonej trawie.

Jak Polska szeroka i długa,
to w miastach też są cuda
Kraków – Sukiennice
Warszawa – Łazienki
a Gdańsk Neptun wielki.

Każdy z nas przyjechać tu może,
nad nasze piękne Bałtyckie morze,
zaś Zakopane też wszystkich gorąco wita,
bo to nasza Polska znakomita!

Alicja Błażejewska kl.5

(...)

Ranny żołnierz leży na ziemi
Obok niego czapka z orzełkiem
Trzyma karabin w zimnej dłoni
I lekko skłonił swą głowę ku niebu.
Otworzył zakrwawione oczy
Spojrzał na ojczyste niebo
Granatowe, zachmurzone
Jakby całe obolałe
Od strzałów, ognia i dymu.
To wróg je tak namalował.

Gdzieś w oddali
Słychać wybuch bomb i granatów.
Tam walczą jego koledzy
A on za Ciebie Ojczyzno umiera.
Oni wejścia do miasta bronili
Po którym pozostały ruiny, gruzy i zgliszcza.
Biało-czerwone sztandary
Niczym motyle zbłąkane
Fruwają lekko na wietrze

Kulami nieprzyjaciela poszarpane.

Marsz, marsz żołnierzu
Twój kraj w niebezpieczeństwie!
Odwagi Ci doda
Hymn Polski na ustach.
Walcz za swoją Ojczyznę
Ojca i Matki spuściznę
Nie bój się, przyj na przód
Śmiało idź na wroga
Żołnierzu –walcz!
O swój kraj, rodzinę, przyjaciół.

Dziś na mogiłach poległych żołnierzy
Białe róże pod krzyżami leżą
Szarfą biało-czerwoną przewiązane
A obok orzeł polski z koroną na głowie.
Może przechodzień znicz im zapali
Odmówi nad grobem krótką modlitwę(...)

Marta Zmudczyńska kl. 6

PIEKIEŁKA

Dawno, dawno temu na Pomorzu było wyjątkowa miejscowość, dużo później nazwana Starogardem Gdańskim. Rozciągała się na wzgórzu wśród urodzajnych pól i nieprzepasanych lasów. Ze wszystkich stron otoczona była wartką, ale niezwykle urokliwą rzeką Wierzycą. Dobrze się tu ludziom żyło. Uprawiali pola i zbierali obfite plony, łowili ryby i wyciągali pełne sieci, młyny pracowały pełną parą, a kupcy chętnie zaglądali do tego miasta, tym bardziej, że mieszkańcy gościnni byli i chętnie otwierali przed przybyszami bramy miasta.

Pośrodku tego wyjątkowego miejsca, tam, gdzie opadało wzgórze, a nad rzeką otwierała się szeroka polana, stał dom rybaka Jana i jego rodziny. Jan rybaczył tak samo jak i inni kociewscy rybacy. Co rano zarzucał sieci w nurtach Wierzycy, a wieczorem wyciągał z nich ryby. Jednak te, które wpadały do jego sieci, były większe i okazalsze niż ryby innych rybaków, a ich łuski lśniły tak mocno, że ryby szybciej znikwały na targu. Okazałe było też domostwo Jana, a jego mieszkańcy nie narzekali na biedę. Najadali się do syta, ubierali się w szaty z najlepszych tkanin, a do kościoła co niedziela jeździli pokaźną bryczką zaprzęgniętą w czarne jak smoła konie. Z roku na rok Jan stawał się bogatszy, a jego sukcesy budziły nienawiść sąsiadów. Nikt jednak nie wiedział, co się kryje za szczęściem Jana, który mimo widocznego bogactwa, wcale nie był wesoły, a uśmiech rzadko gościł na jego twarzy. Jan jednak pamiętał dobrze wydarzenia sprzed kilku lat. A było to tak.

Tego dnia Jan zarzucił sieci i tak samo jak co dzień udał się, żeby zebrać potów. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi i zabarwiło na czerwono wodę w rzece. Jan pociągnął sieci i ujrzał kilka nędznych ryb. Zmartwił się i pomyślał o czekającej w domu rodzinie. Westchnął głośno i w tej chwili nurt rzeki poruszył się niespokojnie. Rybak spojrzął na tafelę wody i przeraził się, bo ujrzał czyjeś oblicze.

- Witaj, Janie. Czekałem na ciebie.

- Na mnie? Nie znam cię.

- Ale ja ciebie znam. Biedny twój potów.

- Biedny. Znowu nie nakarmię mojej rodziny. Jakaś diabelska moc przegania ryby z moich łowisk.

Twarz w wodzie zaśmiała się głosem tak przejmującym, że ciarki przeszły po plecach Jana.

- Pomogę ci, rybaku. Sprawię, że twoje sieci uginać się będą pod ciężarem ryb, ryb tak pięknych, że nikt nie odmówi ci ich kupna. Chcesz?

- Czy chcesz? Rozwiązałybyś wszystkie moje kłopoty – krzyknął radośnie Jan.

- Dobrze. Pamiętaj jednak, Janie, będziesz bogaty jak nikt nad tą rzeką, ale nigdy nikomu nie możesz pomóc w jego kłopotach. Twoje pieniądze będą tylko twoimi. W przeciwnym razie okrutnie cię ukarzę. Pamiętaj, Janie! - Twarz zniknęła w odmętach wody tak samo szybko, jak się pojawiła. Rybak jeszcze kilka chwil wpatrywał się w ciemną taflę i pomyślał, że to tylko piękny sen. Zabrał ryby i poszedł do domu.

Kolejny dzień zmienił jednak życie Jana. Obietnica wodnej zjawy spełniła się, a jego połowy były tak bogate, że nikt do tej pory takich nad Wierzycą nie widział. Jan rósł w potęgę, ludzie mu zazdrościli i oddalali się od niego, bo nikomu nie chciał pomóc i poratować w potrzebie. A Jan cierpiał, szczególnie wieczorem, kiedy przy wyciąganiu sieci słyszał diabelski rechot, który niósł się po rzece i boleśnie brzmiał w jego głowie. Pewnego dnia Jan nie poszedł rankiem zarzucić sieci. Ze zgrzyoty zamknął się domu i nie opuszczał go. Pewnego dnia po prostu zniknął. Ludzie z okolicznych domów szukali i jego rodziny, ale nikomu nie udało się go znaleźć. Domostwo niszczało, a sieci potargał wiatr. W końcu drewniany dom się zważył, a bogate gospodarstwo zmieniło się w wielką polanę na brzegu rzeki.

Od tamtej pory nikt tam nie zamieszkał. Podobno czasami widać postać Jana, który przechadza się brzegiem Wierzycy i tęsknym wzrokiem patrzy na jej nurt. Towarzyszy mu jednak diabelski rechot, zadowolony śmiech wysłannika piekielnych czeluści, który wypełnił swoje zadanie. Miejsce to nie bez powodu starogardzianie nazywają Piekiełkami.

Oliwia Kisielewska kl.4



Z życia szkoły



21 marca 2016 - kolorowy korowód wita wiosnę

**Zespół Kształcenia Podstawowego i Gimnazjalnego nr 21 z klasami sportowymi
im. Armii Krajowej**

Gdańsk 2016